

Władza dla klaunów



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Prof. Jan Pakulski, socjolog polityki, badacz elit rządzących, o demokracji liderów i zacierającej się granicy między polityką a przemysłem rozrywki.

JACEK ŻAKOWSKI: – Kto nas z tego wyciągnie?

JAN PAKULSKI: – Zależy kogo i z czego?

Polskę, Unię, świat – z kryzysu sanitarnego, ekonomicznego, politycznego, humanitarnego, międzynarodowego.

Dobrzy liderzy dadzą radę przeprowadzić część państw przez to względnie małym kosztem. Niekompetentni zniszczą swoje kraje.

Gdzie pan widzi liderów, którzy dają radę?

W Nowej Zelandii, w Australii, na Tajwanie, w Singapurze. A bliżej Polski – w Niemczech i w Słowacji.

W Słowacji?

Od kiedy Słowacy pozbyli się Fico, zaczęli lepiej niż Polska radzić sobie z wieloma sprawami. Mają, jak Australia czy Tajwan, około 5 śmiertelnych ofiar na milion mieszkańców i epidemia praktycznie już u nich wygasła. A Polska ma około 25 śmiertelnych ofiar na milion i epidemia nie gaśnie. Mimo potwornie kosztownego zamknięcia przez rząd wszystkiego.

To jest zasługa liderów?

Różne czynniki grają oczywiście rolę, ale kiedy się porównuje kraje na podobnym poziomie rozwoju, doskonale widać, że jakość przywództwa jest teraz sprawą życia i śmierci. Węgry, gdzie epidemia jest w podobnej fazie jak w Słowacji, mają dziesięć razy więcej zgonów na milion mieszkańców. Podobnie kiedy się porównuje najbogatsze kraje, gdzie zgonów jest znacznie więcej niż w Europie Wschodniej między innymi dlatego, że większa jest długość życia. We Włoszech, gdzie epidemia wygasa, jest ponad 500 ofiar na milion mieszkańców. Tyle co w Wielkiej Brytanii, gdzie wciąż nie widać, by epidemia słabła. A Niemcy mają

tę fazę epidemii praktycznie za sobą i niespełna 100 ofiar na milion. Dobrze widoczny jest związek z mierzoną przez politologów jakością przywództwa. Ale wszystkie te liczby mogły być dużo niższe, gdyby rządy się mniej zagapiły. A zagapiły się i pogubiły powszechnie, bo większość demokracji ma z przywództwem bardzo poważny problem, narastający od lat 70. XX w.

Jaki problem?

Jakościowy. Coraz słabsi jakościowo liderzy i coraz słabsze elity władzy, na których się opierają.

Jakość służby zdrowia także ma znaczenie.

Jakość służby zdrowia wynika z jakości wcześniejszej władzy. Degeneracja politycznego przywództwa to proces. Powojenna demokracja konsensu różnych grup interesów stopniowo zamieniała się w demokrację liderów. Trump, Orbán, Johnson, Duda czy Morawiecki nie spadli na swoje kraje z nieba. Są produktem trwającego od dekad procesu obniżania jakości przywództwa i całej klasy politycznej. Niższa jakość przywódców i elit prowadziła do niższej jakości państw. W takich państwach jak Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone ten proces zaszedł najdalej, bo zaczął się najwcześniej. A w Niemczech czy Skandynawii były różne czynniki, które go hamowały.

Z czego to wynikało?

Zacząło się od uwiadu partii programowych. Znikały reprezentowane przez partie tradycyjne grupy interesów, jak chłopci czy robotnicy, więc stare formacje ideowe – socjaliści, liberałowie, konserwatyści, chadecy – przekształcały się w partie klientelistskie, zdobywające głosy za pomocą obietnic, a nie wizji świata. Tym to, tamtym owo. Dla jednych mniejsze podatki, ►

► dla drugich lepszy socjał; dla jednych kontrakty, dla drugich posady. Liderzy polityczni przestali być emanacją wielkich grup społecznych. Stopniowo stawali się komiwojażerami zdobywającymi klientów na swój towar, czyli sprawowanie władzy. Kupcie mnie, to będziecie mieli to i to, i to, i jeszcze tamto. Przestało być ważne, kogo reprezentują. Stało się ważne, kogo przekupią albo przekonają. A ponieważ partie przestały reprezentować interesy znikających grup, z których kiedyś wyrosły, więc stały się korporacjami zawodowych polityków, które żeby wygrać, musiały sobie znaleźć najsprawniejszego komiwojażera. Przy wyborze lidera przestało być ważne, kogo reprezentuje i jak będzie rządził, a najważniejsze stało się, ilu klientów, czyli ile głosów zdobędzie.

Skończyła się epoka, w której liderzy reprezentowali partie, a zaczął się czas, w którym partie reprezentują liderów?

Partie wodzowskie zdarzały się wcześniej. Ale przywódcy, wokół których się organizowały, nieśli ważne idee. A w demokracji liderów idea jest władza. Epokę, w której partia i polityka, czyli walka o władzę, służyły realizacji programu, zastąpił czas, w którym partia i program służą zdobyciu władzy. Zadaniem lidera przestało być realizowanie idei. Stało się nim zdobywanie posad i przywilejów dla ludzi związanych z partią. W latach 80. liderzy przestali być przywódcami jednoczącymi zbiorowe wysiłki, stali się gwiazdami przyciągającymi publiczność. Na prawicy to się zaczęło od Reagana i Thatcher. Na lewicy od Blaira i Schrödera. Partie coraz bardziej rywalizowały gwiazdami, a coraz mniej programami. Przestały wygrywać partie mające większą zdolność do dobrego rządzenia, a zaczęły zwyciężać te, które stawiały na silniejszą gwiazdę. To zacierało stopniowo granicę między polityką a przemysłem rozrywki.

Ludzie tego chcieli?

Ludzie się zmieniali. Przystawali wybierać partie i programy, a zaczęli wybierać gwiazdy i osobowości. Znikali wyborcy przez całe życie lub nawet przez pokolenia lojalni wobec partii, a ich miejsce zajmowali wyborcy uwodzeni przez kolejne gwiazdy. W Ameryce podział na Demokratów i Republikanów stał się mniej ważny niż podział na zwolenników i przeciwników Reagana. Ideologiczne partie programowe zmieniały się w oportunistyczne partie sloganowe. Przywództwo pozytywne, wskazujące kierunek rozwoju, było wypierane przez przywództwo negatywne, czyli ataki na politycznych rywali, którzy stawali się wrogami. Realizacja interesów grupowych przestawała być treścią polityki, a stało się nią wywoływanie emocji. To niszczyło partie.

Bo?

Bo wszystko zaczęło się kręcić wokół gwiazd i sloganów, na które stawiały kierownictwa partii. Członkowie przestali być potrzebni. W Europie, może poza Niemcami, masowo odchodzili. Brytyjskie historyczne partie przetrwały w stanie szczątkowym, ale np. we Francji i Włoszech wyparły je wciąż zmieniające się ruchy i koalicje mobilizujące wyborców przez masowe media. W latach 90. demokracją zaczęły rządzić manipulacje medialne. W XXI w. wzmocniły to media społecznościowe, które jeszcze skuteczniej manipulują emocjami wyborców i wymagają jeszcze prostszego przekazu. Pytanie: „czego chcesz?” zastępowało pytanie: „po czyjej jesteś stronie?”. Chcesz Kaczyńskiego czy Tuska? Wybierasz dobro czy zło? Reszta traciła znaczenie.

Partie mają opasłe programy.

W demokracji liderów niewielu wyborców się nimi kieruje. Ludzie przestali rozliczać polityków z realizacji obietnic. Wciąż oczekują nowych. O starych zapominają, gdy media przestają o nich mówić. A media wciąż szukają nowego tematu. Większością demokratycznych państw rządzą teraz gwiazdy, a nie sprawni przywódcy. Są dobrzy w gadaniu i mało skuteczni w rządzeniu.

Wyborcy ich chcą.

Bo im najlepiej wychodzi zwalanie win na innych. PiS ma pełnię władzy, ale odwołanie wyborów jest winą opozycji. Trump zwlekał

z reakcją na COVID, ale powtarza, że katastrofalna skala epidemii w Stanach jest winą Chińczyków albo Demokratów. W demokracji liderów władza może być popularna, ale nie może być dobra.

Bo?

Bo rządzić to praca zespołowa. Wymaga aparatu budowanego przez setki lub tysiące kompetentnych, doświadczonych, zaangażowanych polityków. Dopóki Zachodu nie zdominowała demokracja liderów, tacy politycy wyrastali w partiach politycznych. Jeszcze w latach 70. dojście do czołowej pozycji w partii trwało na Zachodzie średnio 17 lat. Teraz trwa o blisko połowę krócej. W większości państw awans polityka podobnie jak sukces partii zależy od lidera. Inni to wypełniacz, zwykle bez większego znaczenia. Od góry do dołu państwowej i partyjnej maszyny liderzy obsadzają ludzi wyciąganych z rękawa. Namaszczenie wystarczy. Nie trzeba mieć politycznych osiągnięć ani kompetencji. Kim byli Duda i Morawiecki, nim ich wskazał Kaczyński? Podobnie można zapytać, kim byli Jacek Rostowski albo Zyta Gilowska? Kiedy najwyższe urzędy obejmują osoby bez politycznej praktyki, porażka jest niemal pewna. A w demokracji liderów to standard. To sprawia, że faktycznie nie ma demokratycznej weryfikacji karier politycznych. Jedyna weryfikacja wyborcza dotyczy liderów, grup przywódczych. Politycy w zdecydowanej większości są więc słabo zakorzenieni społecznie i mocno podczepieni pod kierownictwo partii. Reprezentują partię i lidera, a nie swoich wyborców. Zwłaszcza nie radzą sobie, kiedy pojawia się nowe wyzwanie.

Pandemia to tragicznie pokazuje?

Nie tylko pandemia. Proszę zobaczyć, co się dzieje z partiami, kiedy ich gwiazdy odchodzą. Partia Pracy do dziś nie może się pozbierać po Blairze. Podobnie jak PO po Tusku, Demokraci po Obamie i socjaldemokraci niemieccy po Schröderze. Nawet najbardziej odporni na te trendy niemieccy chadecy nie mają kim zastąpić Angeli Merkel.

Nic nie rośnie w cieniu wielkich drzew.

Nie tylko. Kiedy wszyscy są w cieniu lidera i żyją politycznie na jego rachunek, to nie odbywa się także proces socjalizacji do przestrzegania reguł walki politycznej. Jedyną regułą staje się wierność liderowi. A partie przestały wychowywać liderów. Bo łatwiej jest przyciągać outsiderów. Jak ktoś jest popularny medialnie, może z dnia na dzień zostać członkiem rządu albo kandydatem na urząd prezydenta. Na bardzo wysokie pozycje zaczęli w XXI w. trafiać ludzie politycznie znikąd, którzy nie mają kultury budowania konsensu proceduralnego ani tworzonej latami sieci politycznych relacji, dzięki którym możliwa jest przyjazna rywalizacja.

Czyli kierunek demokracji został odwrócony. Dawniej środowiska wyłaniały liderów, oni się grupowali w partiach i wybierali przywódcę. A teraz partyjni liderzy wybierają swoich ludzi w różnych środowiskach i ich kooptują do władzy.

Liderzy tworzą sobie nie tylko polityków, ale też wyborców. Pierwszym takim przypadkiem był Reagan. Zamiast dogadywać się z liderami tradycyjnych grup regionalnych, branżowych, rasowych, stworzył trzy tzw. pasy, do których zwrócił się bezpośrednio. Pierwszy (*oil belt*) to był przemysł energetyczny, zbrojeniowy i samochodowy, drugi (*bible belt*) to chrześcijańscy fundamentaliści tworzący potężne sekty, a trzeci (*sun belt*) to ludzie żyjący z gospodarki Doliny Krzemowej. Od niego zaczęło się formatowanie elektoratów przez politycznych liderów, czyli kształtowanie sobie wyborców medialnymi sloganami, które zastąpiło tradycyjną ideę reprezentowania różnych frakcji strukturalnych podziałów społecznych. Takie formatowanie może być efektywne, ale kiedy taki lider odchodzi, sformatowany przez niego elektorat się zwykle rozpada i partia zostaje z niczym.

Z plotkami, które otaczały lidera i bez jego wyborców. Jak film z Louisem de Funesem po wycięciu Louisa de Funesa?

Dokładnie. Kaczyński w budowaniu swojego elektoratu próbuje iść tropem Reagana. Radio Maryja, Podlasie i Podkarpacie to jego



OTV

Jan Pakulski

– socjolog polityki, profesor Uniwersytetu Tasmańskiego w Hobart i Collegium Civitas w Warszawie, członek Australijskiej Akademii Nauk Społecznych i Stanfordzkiego Centrum Badań nad Ubóstwem i Nierównościami. Badacz elit. Wydał m.in. „Toward Leader Democracy” („Ku demokracji liderów”, Anthem Press, 2012). Członek Concilium Civitas.

pas biblijny, stoczniovcy i górnicy to jego *rust belt*, młodzież na śmieciówkach to jego Latynosi. A druga noga Kaczyńskiego idzie tropem Trumpa, czyli ciągłego skandalizowania. Żeby wyborca codziennie się budził z ciekawością: „co dziś nasz lider wymyśli”. Bo kiedy nie ma żadnej idei poza ideą utrzymania władzy, to trzeba ciągle skupiać na sobie uwagę. Nie wolno pozwolić, żeby jacyś wyborcy zaczęli słuchać innych. I trzeba tak działać, żeby inni nie nadążali z reakcją. W demokracji liderów wszyscy muszą być w permanentnym szoku. Żeby nie zdążyli zebrać własnych myśli. Donald Trump jest tu mistrzem.

Kaczyński też dużo potrafi, dzieląc role między rapującego Dudę, ustępującego wicemarszałka Senatu, premiera ogłaszającego coraz bardziej niezrozumiałe decyzje w sprawie pandemii.

Nie jest łatwo samemu być zarazem klaunem i meksaszem – jak Trump, Johnson, kiedyś Berlusconi.

W Polsce dobry był w tym Macierewicz, ale przegrzał.

IPiS nic na tym nie stracił. To pokazuje, że w demokracji liderów politycy stali się tylko klientami partyjnych liderów, którzy im dostarczają synekur w zamian za wykonywanie poleceń. Wszyscy muszą pracować na produkt, którym jest lider partii. To się może udać, jak z Dudą i Morawieckim, albo się nie udać, jak z Budką i Kidawą-Błońską. Ale cała tak budowana grupa nie jest w stanie efektywnie zarządzać rzeczywistością.

Jak z tego można wyjść?

Historycznie patrząc, pewnie trzeba czekać na kryzys tak głęboki, że doprowadzi do zmiany elit politycznych.

Jak?

Tocqueville zadawał sobie to pytanie w latach 50. XIX w. Jego problemem był Napoleon III, pierwszy dobrze opisany populistą – niezwykle popularny, wygrywający wszystkie plebiscyty ogromną większością, chociaż destruował Francję.

I?

Tocqueville nie doczekał. Dopiero Prusacy zrzucili Napoleona III z cesarskiego tronu. W wyniku najazdu, krwawej wojny domowej, którą znamy jako Komunę Paryską, i potwornego kryzysu gospodarczego Francja stała się demokracją w miarę liberalną pierwszy raz od wielkiej rewolucji. Bez katastrofy trudno jest pokonać zakorzenionego wirusa populizmu. To może dotyczyć także nowego populizmu, który wyrasta z demokracji liderów. Bo ci liderzy wiedzą, że są kiepscy, i ich otoczenie też wie, że jest kiepskie, więc dobrze rozumie, że jeśli straci władzę, nigdy nie znajdzie sobie dobrego miejsca w społeczeństwie.

Bo?

Bo robią to, czego żąda lider, a nie to, czego potrzebują wyborcy. To ich wykorzystanie. Nawet kiedy coś dobrego zrobią – np. podpiszą porozumienie klimatyczne w Paryżu – robią to bez kontaktu z zapleczem, więc przy pierwszej okazji inni to odwracają ku uciesze wyborców.

Bez wojny czy innej katastrofy się z tego nie wyrwiemy?

Ja wierzę w cykle polityczne. Po fazie degeneracji elit, zaognianych konfliktów, dewastowania państw przychodzi faza regeneracji.

Gdzie jesteśmy w tym cyklu?

Zależy który kraj. Demokracja liderów jest produktem cywilizacyjnym. Na to pewnie się nie poradzi. W niektórych krajach może się z niej wykluczyć reżim niedemokratyczny, wodzowski. Jak w Polsce czy na Węgrzech, gdzie podziały są narzędziem rządzenia. Inne kraje mogą wypracować wariant demokratyczny z wyborami, które będą zmieniały liderów i elitę. To zależy, jak masowo ludzie zaczną wychodzić na ulice przeciw nieudolnej władzy i dzielącej społeczeństwa elicie przywódczej. Wtedy

się może wyłonić jakaś nowa elita, z którą starzy liderzy będą się musieli dogadać. Tak może się zacząć proces regeneracji niektórych demokracji. Bo przecież w bardzo wielu krajach podobnie frustrująca jest i władza, i opozycja.

W innych ani władza nie jest frustrująca, ani opozycja. Australia, Nowa Zelandia, Kanada, Niemcy, Słowacja nie są w tak katastrofalnym stanie jak Polska czy USA.

Mają lepszych przywódców.

Bo?

Czasem to jest przypadek. Ale większość z tych państw to były brytyjskie kolonie, gdzie elity władzy rodziły się konsensualnie i są zgodne co do reguł gry politycznej. Kolonie wciąż korzystają z dobrodziejstw westminsterskiej tradycji politycznej.

A Niemcy?

Niemcy odtworzyły po wojnie elitę wysokiego konsensu. Ostrożniej przyjmowały globalne trendy ostatnich kilku dekad. Zachowały wiele starych struktur w gospodarce, a w polityce zachowały partie programowe i zgodne elity. Ta zgodność i ostrożność teraz się odpłacają i ratują mechanizmy demokracji liberalnej. Bo przetrwały elity respektujące zasady politycznej rywalizacji i racjonalnie podejmujące decyzje. Czasem grają twardą politykę, ale nie naruszają reguł. Nie manipulują emocjami, nie wyciągają królików z kapełusza, nie dają poważnych zadań osobom niedoświadczonym. W Niemczech, podobnie jak w Australii, Kanadzie czy Nowej Zelandii, jest nie do pomyślenia, żeby któryś z najwyższych urzędów objęła osoba, która nie przeszła testów na wielu niższych funkcjach. I jest niewyobrażalne, żeby polityk demonstrował brak szacunku dla prawa – jak w dzisiejszej Polsce. Gdyby ktoś sobie na taki brak szacunku pozwolił, politycznie byłby wykluczony. Ale zarazem każdy polityk wie, że jeśli przegra najbliższe wybory, to świat się nie skończy. W następnych wyborach może wrócić do władzy.

Jak dojść do takiego standardu?

Trzeba mieć klasę polityczną na dobrym poziomie.

Wymienić?

Częściowo wymienić, a częściowo zmusić, żeby się zmieniła. **Hołownia jest odpowiedzią?**

Nie może być odpowiedzią człowiek, który nigdy nie pełnił żadnego urzędu. Taki wybór byłby kolejnym krokiem w stronę degeneracji. Bo żeby dobrze pełnić taki urząd, trzeba mieć doświadczenie, wiedzę i kontakty z elitą w kraju i za granicą.

Doświadczeni doradcy nie starczą?

Trzeba ogromnej wiedzy i doświadczenia, by mieć intuicję, jakich doradców i jakich rad w różnych sytuacjach słuchać. Tylko polityka kształci dobrych polityków. Trump jest dla USA tak wielkim zagrożeniem właśnie dlatego, że nie ma żadnych politycznych doświadczeń.

Jeżeli jako rozwiązanie odrzucamy i wielką katastrofę, i radykalną wymianę elity na niedoświadczonych ludzi dobrej woli typu Szymona Hołowni, to jaka jest ucieczka od polityki okupowanej przez zdegenerowane elity?

Nie ma innej odpowiedzi niż stopniowe rozszerzanie elity o ludzi, którzy coś w polityce zrobili.

Zaprosić po wyborach Hołownię do PO?

Jego, ludzi, którzy z nim są, liderów ruchów protestu. Zaprosić, wypróbować ich w różnych politycznych rolach, dać im szansę zdobycia doświadczeń. Za kilkanaście lat mogą być bezcennym kapitałem.

Długo.

W polityce nie ma dobrej drogi na skróty.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI